

# Rozdział I

Matka to skarb, a miejsce skarbu jest głęboko pod ziemią.

Robert rozumiał to jak nikt inny. Na własnej skórze się przekonał, czym grozi pozostawienie mentalnej pępowiny, która z roku na rok coraz ciaśniej owija się wokół szyi i trzyma na uwięzi niczym smycz. Niematerialna, lecz tak mocna, że musiał ją odciąć jakże materialnym, twardym ostrzem. Wreszcie się uwolnił, ale to dopiero początek. Nowo odkrytej wiedzy nie zamierzał zachowywać tylko dla siebie. Na świecie roi się od pozbawionych skrupułów matek, które w imię złe pojętej miłości robią z dzieci pozbawione własnego zdania marionetki. Nie mógł na to pozwolić. Nie mógł beczynn timer patrzeć na ludzką krzywdę.

Lata obserwacji wyrobiły w nim zdolność szybkiego namierzania nadopiekuńczych mamusiek. Pierwszego września stadami wychodzą na ulice, by przypilnować pociech. Wyprasowana koszula, pachnący nowością tornister, nieobcierające stópek butki – wszystko dopięte na ostatni guzik. Ro-

zumiał, że można tak traktować siedmiolatki, ale nie widział wytłumaczenia dla matek otaczających niewidzialną bańką starsze dzieci. Na jego oczach toksyczna miłość wysysała z nich całą energię. Nawet się nie obejrzą, a nie będą potrafiły radzić sobie w życiu bez podsuwanych pod nos obiadków, wyprasowanych skarpetek, opłaconych rachunków i wspólnych wieczorów z kochaną mamusią. Taką, jaką miał przed sobą.

Kobieta w szarym płaszczu w zasadzie nie wyróżniała się niczym szczególnym. Niewysoka, korpulentna, z włosami spiętymi gumką – dawno już przestała dbać o swój wygląd. Mazur zgadywał, że wolała kupić dziecku najlepsze buty do gry w piłkę, niż znaleźć nowszy model własnych znoszonych czófenek, pamiętających zapewne chrzest rozpuszczonego bachora. Wcale by go nie zdziwiło, gdyby pod płaszczem miała spraną, porozciąganą bluzkę, choć synalek biegał po boisku w stroju piłkarskim za kilkaset złotych. To jednak nie wygląd kobiety przykuwał uwagę, lecz jej zaangażowanie. Wzdrygała się podczas podbramkowych sytuacji, dodawała synowi otuchy po każdym niecelnym podaniu. Chłopak nie wykazywał się niczym szczególnym, ale to jej nie przeszkadzało, by głośno wyrażać zachwyt. Typowa cecha ślepej miłości, uznał. Widziała tylko sukcesy syna. To nic, że trzy razy z rzędu podał piłkę przeciwnikowi, a jego strzał minął bramkę o kilka metrów. Najważniejsze, że w decydującej chwili sfaułował rywala wychodzącego na czystą pozycję.

Mazur odpuściłby, gdyby chłopiec – na oko dwunastoletni – zrugnął matkę za robienie mu wstydu przy kolegach albo

przynajmniej się zaczerwienił, on jednak zdawał się potrzebować maminego dopingu. Ten wręcz dodawał mu skrzydeł.

Robert nie potrzebował innych powodów do działania.

\*\*\*

Sąsiadująca z parkiem Oliwskim prywatna szkoła podstawowa dla chłopców była najlepszym miejscem do szukania przyszłych ofiar. Mazur od wielu miesięcy obserwował kilka kobiet odwożących dzieci na lekcje. Jeszcze przed zakończeniem poprzedniego roku szkolnego planował przeciąć nożem kolejną pępowinę, ale szczęście mu nie dopisało i musiał obejść się smakiem.

Cieszyła go teraz perspektywa coraz krótszych dni. Wrześniowy chłód i wcześniejsze zachody słońca oznaczały mniejszą liczbę przechodniów, dzięki czemu łatwiej będzie podejść do nadopiekuńczej matki. Wydawać by się mogło, że najlepsze warunki do pracy będzie miał zimą, gdy zmrok nadchodzi najwcześniej, ale akurat wtedy władze miasta skutecznie utrudniają mu zadanie. Robert nie potrafił sobie wyobrazić głępszego pomysłu niż iluminacje świąteczne w parku Oliwskim. Nie dość, że niepotrzebnie trwoniono pieniądze podatników, to jeszcze wymarzone miejsce zbrodni co roku od listopada do końca stycznia zamieniano w centrum rodzinnej rozrywki, a on był zmuszony, by szukać ofiar w parku Reagana czy w innych pomniejszych skupiskach zieleni.

Teraz jednak mógł działać swobodnie. Dochodziła szesnaśta, mecz powinien zakończyć się lada chwila. Do szkolnej szatni wpuszczano tylko uczniów, kobieta będzie musiała

jakoś zagospodarować czas, zanim syn weźmie prysznic i przebierze się w przygotowane przez nią ubrania. Niezależnie od tego, czy pójdzie na spacer, czy poczeka pod szkołą, Mazur liczył na owocne zakończenie dnia.

Tak jak założył, wraz z końcowym gwizdkiem odprowadziła syna wzrokiem, a potem sama skierowała się w stronę parku. Odruchowo wymacał rękojeść noża w wewnętrznej kieszeni kurtki. Nic nadzwyczajnego. Ot, zwykłe ostrze, którym przed laty uwolnił się od niezdrowego układu z matką. Czasem go korciło, by sprawić sobie bardziej profesjonalną zabawkę, ale sentyment zawsze brał górę. Tu nie było miejsca na fajerwerki. Podczas podcinania gardła niewątpliwie odczuwał przyjemność, ale działał głównie z poczucia obowiązku.

Ciekawiło go, jaką trasę obierze nieznajoma. Pogrążona w myślach ani razu nie obejrzała się za siebie, nie musiał zatem trzymać dystansu. Na razie i tak nie mógł nic zdziałać. Wokół kręciło się zbyt wielu spacerowiczów.

– Nie stój jak cielę – syknął w jej kierunku, gdy zatrzymała się przy prostokątnym stawie.

Oddałby wszystko, żeby tylko weszła w sąsiednią alejkę, po obu stronach obsadzoną wysokim żywopłotem. Przy odrobinie szczęścia podbiegłby, szybko dokonał dzieła i zniknął niezauważony, ale niestety, mamuśka ruszyła wzdłuż brzegu. Po drugiej stronie wody siedziała na ławce starsza para i dokarmiała kaczki. Ubrani w ciepłe kurtki i czapki, okutani szalikami, wyglądali, jakby planowali tam przezimować. Kilka metrów dalej dwie dziewczyny spacerowo-

wały z wózkami i najwyraźniej zmierzały w tę samą stronę, co jego cel.

Korciło go, by mimo wszystko doskoczyć do kobiety i nic sobie nie robiąc z obecności świadków, poderznąć jej gardło. I tak nikt nie zobaczy jego twarzy. Staruszkowie mogli w ogóle nie zwrócić na niego uwagi, a młode matki co najwyżej zaczną histerycznie krzyżeć i wzywać policję. Zanim na miejscu zjawi się patrol, on już dawno wróci do domu i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku otworzy butelkę wyborowego wina.

– Żadnych głupich akcji – skarcił się pod nosem. – Zero ryzyka. Pełen profesjonalizm.

Najwyżej pójdzie za kobietą do samochodu i zanotuje numery rejestracyjne. Tyle wystarczyło, by namierzyć miejsce zamieszkania. Dotąd nie odwiedzał ofiar w domach, ale tak dawno nie przecinał pępowiny, że czekanie na kolejną akcję było męką. Ręce drżały mu z podniecenia – zupełnie jak wtedy, gdy zabił pierwszy raz. Krótka abstynencja ma swoje dobre strony, uznał, oblizując wargi.

Jak na złość, nieznajoma poszła w stronę drugiego wyjścia. Jeśli skręci w Rybińskiego, to koniec. Mazur nawet w nocy nie zdecydowałby się na atak w tak ruchliwym miejscu. Mniej ryzykowałby na rzadziej uczęszczanej ulicy Kana-pariusza, ale godzina była jeszcze zbyt wczesna, żeby myśleć o czymś takim.

Poczuł nagłą potrzebę działania.

– Halo! – krzyknął, momentalnie żałując podjętej decyzji.  
– Proszę pani! Proszę na mnie poczekać!

To był błąd. Robert zdawał sobie z tego sprawę, ale mimo to z uśmiechem skinął głową. Jeśli kobieta dostrzegła go wcześniej, kiedy gapił się na nią podczas meczu, całą akcję szlag trafi. Nie po to miesiącami pracował z psychologiem, żeby teraz działać impulsywnie. Czasem trzeba odpuścić – Artur powtarzał mu to jak mantrę w czasie cotygodniowych sesji. Zagryźć zęby i poczekać na dogodniejszą okazję.

Trzeba przyznać, że trafił mu się terapeuta z powołania. Zamiast wygłaszać psychologiczne bzdury albo od razu wysłać go do czubków, spojrzął na problem w życiowy sposób. Nie potępiał Roberta. Nie nazywał go mordercą ani psychopatą. Poprzednim łapiduchom Mazur nie był w stanie wyznać prawdy. O tym, co robił, opowiadał jak o nocnych majakach, co i tak brzydziło pozał się Boże specjalistów. Ale nie Artura. On był inny. W tych swoich eleganckich garniturach wyglądał co najmniej jak dyrektor banku. Już sam fakt, że przyjmował tylko wybranych pacjentów, świadczył o jego renomie i nietypowym podejściu. Mazur wiedział, że powinien przystopować, ale czekał już tak długo...

– Dzień dobry – zawołał ponownie, podchodząc bliżej. – Przepraszam, że niepokoję, ale wydaje mi się, że nasze dzieci chodzą do tej samej klasy.

– Doprawdy?

Patrzyła na niego nieufnie, odruchowo przyciskając torebkę do tułowia. Rozejrzała się nerwowo, szukając wzrokiem innych spacerowiczów, ale po chwili nieco poluzowała uścisk – najwyraźniej zdał pierwszy test. Nie wyglądał na złodzieja ani zboczeńca, a obecność starszej pary

i spacerujących nieopodal kobiet dodała jej odwagi.

– Chyba nigdy nie mieliśmy przyjemności się poznać – dodała, wciąż z lekką niepewnością.

– Zwykle to żona przywozi i odbiera naszego urwisa, ale dziś padło na mnie. Przepraszam, że niepokoję, ale skojarzyłem panią z zebrania rodziców, dlatego pozwoliłem sobie zawołać. Spóźniłem się na mecz, a obiecałem, że będę kibicował. Może mi pani pokrótce streścić przebieg? Pani Krystian coś strzelił?

Wystarczyło, by wspomniał o chłopcu – jego imię wykrzyczała tyle razy, że nie sposób było go nie zapamiętać – a twarz kobiety się rozpromieniła. Nieufność znikła w jednej chwili. Długie lata, które przepracował jako doradca klienta, i terapia nauczyły go, jak przekonywać do siebie nieznanym. Często wystarczył uśmiech, by przełamać pierwsze lody. W tym wypadku sprawę ułatwiała toksyczna miłość matki do syna.

– Raz był bliski, ale spudłował – odpowiedziała z entuzjazmem. – On zresztą lepiej czuje się na obronie. Jest wyższy i silniejszy od kolegów, więc biega trochę wolniej, ale za to dobrze mu idzie w polu karnym.

– Rzeczywiście, chłop jak dąb. A ktoś strzelił bramkę czy znowu było na zero? Czasem żałuję, że mój chłopak nie wybrał koszykówki. Tam przynajmniej więcej by się działo.

Czuł na sobie jej spojrzenie. Był już tak blisko. Nie mógł teraz nawalić. Z trudem odwracał wzrok od szyi wołającej o ostrze. Oczywiście wyobraźni widział, jak zalewa ją krew, jak zdziwione spojrzenie kobiety zachodzi mgłą, jak przecięta

pępowina uwalnia nastolatka z toksycznej uwięzi.

Zrobił kilka kroków w bok, byle tylko oddalić się od ruchliwej ulicy.

– Ale co ja tam wiem o sporcie. – Machnął ręką. – Sam zawsze stawałem na bramce, bo marny był ze mnie zawodnik. Żona to się śmieje, że ogląda więcej meczów w telewizji niż ja. Nie wiem, jakoś nie potrafię znaleźć przyjemności w dopingowaniu zgrai facetów ganiających za dmuchaną piłką.

– Trochę pana rozumiem. Jeszcze dwa lata temu nie wiedziałam, co to spalony. Ale Krystek mnie podszkolił i mogę teraz przeżywać emocje razem z nim. To dla niego ważne.

Robert nie wątpił w szczerść jej słów. Świadomie czy nie, swoim zachowaniem kastrowała syna i uzależniała go od siebie. Z jego matką było podobnie. Najpierw wspólne zabawy, spacerowanie i odprowadzanie do szkoły, potem pomaganie w lekcjach, pytania o nowe znajomości i plany na wakacje. Nawet studia mu wybrała, a większość pracy magisterskiej wyszła spod jej ręki. Gdyby nie zareagował w porę, zapewne znalazłaby mu żonę i pomogła spłodzić syna.

– Nie będę dłużej pani niepokoił. – Uśmiechnął się ciepło, po czym ruszył w stronę obsadzonej wysokim żywopłotem alejki. Zrobiwszy parę kroków, odwrócił się w kierunku kobiety. – Chyba że pani też już wraca, to możemy przejść się razem.

Przez chwilę rozważała propozycję. Biła się z myślami: rozsądniej byłoby wyjść na ulicę i okrążyć park, ale wtedy nie mogłaby rozmawiać na swój ulubiony temat. Zapewne



uwielbiała opowiadać o Krystianie i jego wybitnych umiejętnościach. Co z tego, że codziennie pomagała mu w lekcjach, a on, zamiast pisać wypracowania, wolał grać na komputerze, dla niej i tak był nieskazitelnym diamentem.

Wciąż się wahała. Musiał ją dodatkowo zachęcić.

– Ciekaw jestem nowego planu lekcji – dodał. – Osobiście uważam, że dzieci powinny mieć więcej zajęć z matematyki. Najwięcej pracy jest dla inżynierów i informatyków, trzeba w chłopakach wyrobić zainteresowanie w tym kierunku, a nie męczyć lekturami czy budową wewnętrzną pantofelka.

Z trudem powstrzymał triumfalny uśmiech, gdy kobieta ruszyła w jego stronę. Najwidoczniej trafił w czuły punkt.

– Jestem tego samego zdania – oświadczyła. – Krystek ma smykałkę do komputerów, ale w dzisiejszych czasach to za mało. Nie zostanie przecież serwisantem sprzętu. Tak lubi gry, że pewnie niedługo sam będzie pisał nowe.

– No tak, a bez matematyki ani rusz.

Szli wolnym krokiem w stronę stawu. W odpowiednim momencie celowo lekko skręcił, by zamiast ścieżką prowadzącą wzdłuż wody przeszli kilkanaście kroków dalej, do równoległej alejki. Pulsująca w żyłach adrenalina zagłuszała słowa mamuśki, która zapewne bełkotała coś o przestarzałym systemie edukacji czy zbyt dużej ilości materiału do przyswojenia. Dla Roberta nie miało to najmniejszego znaczenia. Liczyła się tylko pępowina i...

Rozległ się głośny krzyk. Po chwili dołączył do niego kolejny, wyraźniejszy, który przerodził się w wołanie o pomoc.

– Co, u licha? – spytała kobieta, spoglądając na Roberta.

Mazur z trudem powstrzymał cisnące się na usta przekleństwo. Był już tak blisko. Wystarczyło kilka kroków, by dotarli w ustronne miejsce, a tu ktoś postanowił popsuć mu zabawę.

– Może zadzwonić po policję? – dodała.

Od strony palmiarni biegły dwie dziewczyny, od stóp do głów ubrane na czarno. Wyglądały, jakby zamiast świętować uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego, wybrały imprezę z tanim winem i gitarą akustyczną. Im akurat przydałoby się nadopiekuńczy rodzice, stwierdził w myślach Robert. Widok panien w podartych spodniach i z przekłutymi uszami utwierdził go w przekonaniu, że zniesienie mundurków było chybionym pomysłem. Kto to słyszał, żeby nastolatka chodziła po ulicy w koszulce z pentagramem i wizerunkiem nagiej kobiety w środku. Do tego ta dołująca czerni. Dziewczyny powinny ubierać się w jaśniejsze, przyjemniejsze dla oka kolory.

– Ona nie żyje! – wrzeszczała niższa z nastolatek.

Druga chciała coś dodać, ale tylko się zatoczyła, zastaniając usta dłonią.

– Ludzie, zróbcie coś! – Trzeźwiejsza z dziewczyn błagalnie spojrzała na Roberta. – Tam jest trup!

Ktoś mnie ubiegł, pomyślał. Spojrzał na stojącą obok kobietę, zastanawiając się, czy ma jeszcze choć cień szansy na poderżnięcie jej gardła. Była roztrzęsiona, mógłby więc zaoferować jej pomocne ramię i odprowadzić ją do samochodu, tyle że głupie smarkule oczekiwały od niego reakcji. Gotowe jeszcze pójść za nim i skomleć o pomoc.

– Sprawdzę, co się stało – rzucił niechętnie. – Niech pani wezwie policję i popilnuje tych małolat. Mam nadzieję, że to

tylko głupi żart.

– A czy to bezpieczne?

Wzruszył ramionami. Tak naprawdę chciał jak najszybciej się od nich oddalić. Ręce wciąż drżały mu z podniecenia, a brak możliwości zaspokojenia żądy doprowadzał go do wściekłości. Najchętniej wyjąłby nóż i pochlastał durne dziewczuchy, przez nie musiał obejść się smakiem. Czekał go trudny wieczór i jeszcze gorsza noc. Być może nie wytrzyma bez niezapowiedzianej wizyty u Artura. Tylko co mu powie? Przecież się nie przyzna, że wdał się w rozmowę z potencjalną ofiarą. Kamiński wiele razy mu tłumaczył, jak powinien podchodzić do kobiet. Dziesiątki godzin pracowali nad tłumieniem emocji i planowaniem każdego kroku na chłodno. Jeśli psycholog się dowie, co zrobił, gotów wyrzucić go z terapii!

Nie, o niczym mu nie powie. W ogóle się z nim nie skontaktuje. Jakoś sobie poradzi. W ostateczności pójdzie do burdelu i za dodatkową opłatą obije twarz jakiejś Ukraince. To powinno go uspokoić, przynajmniej na chwilę. Przetrwaj noc, a z samego rana wróci w okolice parku i dorwie jakąś toksyczną matkę. Nieważne już którą. Wszystkie są takie same.

Nagle coś zrozumiał.

– Nie, kurwa! – krzyknął, mijając rozhisteryzowane nastolatki.

Spojrzały na niego dziwnie, ale szedł dalej. Dopiero teraz do niego dotarło, że trup w parku oznaczał wzmożone patrole policji przez kilka najbliższych tygodni, co uniemożliwi mu działanie. Przecież czekał na to całe wakacje! Nie mogli

mu tego zrobić. Nie po tylu miesiącach posuchy. Nie, kurwa, tak się po prostu nie robi!

Dysząc z wściekłości, dotarł do palmiarni. Drzwi do oszklonego budynku były otwarte, ale żeby się do nich dostać, musiał przejść pod rusztowaniem. Na tablicy informacyjnej przeczytał wzmiankę o pracach renowacyjnych i zamknięciu obiektu dla zwiedzających. W środku nikogo nie było. O remoncie świadczyły tylko chaotycznie porozrzucone materiały i kolejne rusztowania. Od progu buchnęło wilgotne, ciepłe powietrze.

Rozejrzał się wokół. Prócz wysokich palm i innych tropikalnych roślin, których nazw nie znał, nie dostrzegł nic interesującego. Żadnych zwłok, na wyłożonej kostką podłodze nie było nawet kropli krwi. W środku panował półmrok. Wszedł dalej. Budynek był wysoki, ale zajmował zaledwie kilkadziesiąt metrów kwadratowych, obejście wszystkiego nie powinno zająć dużo czasu. Skoro już stracił szansę na skorzystanie z noża, to przynajmniej popatrzy sobie na świeże zwłoki, pocieszał się Mazur. Tych jednak nigdzie nie dostrzegł.

Doszedł do centralnego punktu pomieszczenia, gdzie rosła ogromna palma. Wokół stały rusztowania, a dach przesłonięto pilśniowymi płytami. Daktylowiec wyglądał imponująco, Robert nie przyszedł tu jednak, by podziwiać rośliny. Poza tym nie odpowiadały mu wysoka temperatura ani wilgoć panujące w pomieszczeniu. Jak najszybciej chciał stamtąd wyjść.

– Gdzie byś pił na miejscu dzieciarni? – spytał na głos. – Raczej nie pod wielką palmą, tylko gdzieś z boku, żeby robotnicy nie widzieli. Chyba że młodzi nie mają teraz za grosz

przyzwoitości i chlają, gdzie popadnie.

– Halo?! – W odpowiedzi usłyszał głos kobiety w szarym płaszczu. – Jest pan tam?

– Jestem, jestem! – krzyknął przez ramię. – Dziewczyny chyba z nas zażartowały. Może ich koleżanka wypita za dużo i ucięła sobie drzemkę. Smarkule wybiegły i zaczęły krzyczeć, to się ocknęła.

– Zadzwoiłam po policję. Ktoś powinien tu przyjechać w ciągu kilku minut. – Kobieta zbliżała się do niego. – Pomyślałam, że wrócę do szkoły, bo chłopcy już pewnie skończyli się przebierać. Mogę poczekać tam z Krystianem i pańskim synem, tylko... – Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Przez to wszystko nie zdążyliśmy się sobie przedstawić.

Spojrzał na nią, przygryzając wargę. Była tak blisko. Wystarczyło podejść, wyciągnąć nóż i rozkoszować się zaskoczeniem na jej twarzy. Robert jednak nie był pewien, czy w budynku nie zainstalowano monitoringu. Poza tym głupie smarkule mogły zapamiętać jego twarz. Nie dość, że doniosłyby policji, to od razu przypisano by mu jeszcze jedną zbrodnię – jeśli w ogóle do niej doszło.

– Dość już narozrabiałeś. – Usłyszał w głowie głos psychologa. – Czy ty w ogóle nie masz wyobraźni? Wracaj do domu i odczekaj kilka dni!

– Proszę się tak do niego nie zwracać – odpowiedział mu głos matki Mazura. – Robuś jest byстрыm chłopcem i sam wie, co dla niego dobre.

Mężczyzna zatkał dłońmi uszy i zacisnął powieki.

– Nie teraz – jęknął. – Błagam, zostawcie mnie w spokoju.

O dziwo, poskutkowało. Zwykle tego typu dialogi trwały w nieskończoność, głównie przez matkę, która potrafiła godzinami bronić go przed atakami Kamińskiego. Najgorzej było, kiedy do dyskusji włączały się wcześniejsze ofiary Roberta. Wtedy wszyscy podnosili głos i wyzywali się od najgorszych, a do ich opanowania mężczyzna potrzebował co najmniej dwóch butelek wina.

Otwierając oczy, przypomniał sobie o obecności kobiety w szarym płaszczu. Po spektaklu, który przed chwilą odegrał, zapewne będzie się trzymać od niego z daleka.

Tak jak przypuszczał, niedoszła ofiara stała jak wryta z wystraszoną miną. Wyraz jej twarzy nie pozostawiał złudzeń – uznała go za wariata. Aż dziwne, że od razu nie pobiegła do wyjścia. Może sparaliżował ją strach? Robert uśmiechnął się do własnych myśli. Takiej przychylności losu się nie spodziewał. Nawet wilgoć i wysoka temperatura przestały mu przeszkadzać.

Włożył dłoń do wewnętrznej kieszeni kurtki i dotknął ostrza. Kobieta wciąż stała jak słup. Nie patrzyła jednak na niego. Głowę miała zadartą do góry, jakby wypatrywała już spotkania ze Świętym Piotrem.

– Matko Boska... – szepnęła.

Wreszcie normalna reakcja, stwierdził z satysfakcją. Odcinanie pępownicy otumanionej ofierze odzierało dzieło z dramatyzmu. Samo uwolnienie nastolatka traktował jako misję, ale cała otoczka stanowiła swego rodzaju zapłatę za jego poświęcenie. Nie po to narażał się dla chłopaka, żeby nie czerpać z tego choćby odrobiny przyjemności.

Zrobił krok do przodu. Żywił cichą nadzieję, że to otrzeźwi kobietę i rzuci się ona do rozpaczliwej ucieczki. Byłoby miło przewrócić ją w tropikalne rośliny i tam dokończyć dzieła. Ale nie, głupia bladź nawet nie drgnęła.

– Co to? – jęknęła tylko, gdy stanął obok niej. Wciąż gapiała się w ten sam punkt. – To nie może być człowiek.

Robert niechętnie zadarł głowę do góry. Nie wiedział, co mogło tak przykuć uwagę nieznaną, że nawet nie spojrzała na oprawcę.

Odpowiedź przyszła błyskawicznie.

Stał z dłonią zaciśniętą na rękojeści noża, nie mogąc odebrać wzroku od zawieszzonego kilka metrów wyżej ciała. Szukał zwłok na ziemi, podczas gdy nad sobą miał prawdziwe dzieło sztuki. Inaczej nie mógł tego nazwać. Ciało przytwierdzone do pnia wyglądało, jakby wyrastało prosto z niego. Wrażenie potęgował fakt, że w całości było pokryte zielonymi roślinami. Dopiero po dłuższej chwili Mazur rozpoznał koniczynę. Z dołu wydawało się, że listki wyrastają ze skóry nieboszczyka, jeden przy drugim. Pokrywały też liny, którymi ofiarę przywiązano do drzewa. Robert nie rozumiał przesłania, ale nie przeszkadzało mu to w podziwianiu arcyzmu.

– To jest... piękne – jęknął podekscytowany.

Stojąca obok kobieta spojrzała na niego przerażona. Sądziła, że spotkało ją coś strasznego, i nawet do głowy jej nie przyszło, że cudem uszła z życiem.